

Adresy

W Angoli nie ma instytucji meldunku ani żadnej kontroli administracyjnej. Nie ma też adresów, a w związku z tym także urzędów pocztowych ani płaćności w ramach abonamentu, tylko usługa „prepaid”, ponieważ praktycznie nie ma narzędzi, aby kogoś zalegającego z opłatami znaleźć i do płaćności przymusić. Oczywiście niektóre nieruchomości mają nazwę ulicy i numer, ale żadna nie jest oznaczona tabliczką. O tym, że znajdujemy się na danej ulicy, świadczyć musi znak drogowy, ale obecny tylko w przypadku strategicznych, dużych i ważnych arterii.

Mimo wszystko ludzie się znajdują i trafiają do siebie. W ustalaniu adresu najważniejsze jest podanie miasta lub miejscowości, następnie „bairro”, czyli dzielnicy i dopiero wtedy przechodzi się do części opisowej, czyli poszukiwania z rozmówcą punktu odniesienia. Może to być stacja benzynowa, bank, sklep jakiejś sieci czy most. Po kolei zawężamy miejsca orientacyjne, a i tak na koniec przed samym spotkaniem trzeba do siebie zadzwonić, by się znaleźć na ulicy.

Wyjątkiem jest najstarsza, portugalska część Luandy oraz Kilamba, gdzie całe osiedle podzielone jest na kwadraty, do których przyporządkowane są litera i numer bloku wymalowany na jego ścianach. W innych przypadkach adresem jest skrzyżowanie na przykład Lar do Patriota z Via Espresso, droga na Sossego, 200 metrów po prawej stronie za sklepem niebieska brama. Po części w identyfikacji adresu pomagają oznaczenia posiadłości numerem nadanym przez sieć beczkowodowych wodociągów EPAL. W centrum Luandy nazwy ulic i numery bloków, o ile nie zostały zniszczone w czasie wojny, są widoczne do dziś. Praktycznie każda porcelanowa tabliczka z nazwą ulicy to zabytek.

Mimo, że nie ma adresów, wszystko funkcjonuje. Jest kablówka firmy DSTV lub ZAP, internet w wielu miejscach w Luandzie oparty na światłowodach, a także prepaidowe liczniki prądu. A jeśli ktoś w bloku zalega z czynszem przez kilka miesięcy, dozorca ochroniarz nie pozwoli mu korzystać z windy. W dowodach osobistych oznacza się jedynie miejsce urodzenia, dzielnicę i miasto. Nie ma adresów, bo być nie może, a poza tym nie ma to większego znaczenia, bo ludzie się często przeprowadzają, a dowodów nie zmieniają.

Wygląd i higiena

Pomimo, że większość społeczeństwa żyje biednie lub przekroczyła granicę biedy, Angolczycy przykładają niezwykłą wagę do własnego wyglądu. Jako, że nie mają pralek, piorą ubrania ręcznie w betonowych tarach lub miskach, a żeby ułatwić sobie pranie i suszenie, a także by nie musieć prasować, bo często nie ma prądu, używają ubrań z poliestru. Nie są to najlepsze materiały na upały, ale za to tanie i łatwo dostępne.

Bardzo wielką wagę przykładają się do higieny osobistej pomimo braku odpowiednio wyposażonych łazienek. Prysznic zastępuje kran z wodą (o ile jest pompa elektryczna) lub „wiaderkuje się” wodę do miski prosto ze zbiornika zakopanego w ziemi.

W Angoli nie ma powszechnych wodociągów. Ich rolę spełniają beczkowsy. Podobnie jak niebiesko-białe „Kandungi” są stałym elementem krajobrazu, tak są nim mozolnie przesuwające się po drogach ogromne cysterny, często bez żadnego oświetlenia, „zmęczone”, obite, nierzadko ponad trzydziestoletnie. Całe życie rodzinne skupia się wokół zbiornika z wodą wmurowanego w ziemi: od porannej toalety po zmywanie naczyń i pranie. Obojętnie czy woda pochodzi ze zbiornika, czy z osiedlowego wodociągu, lepiej nie pić jej bez przegotowania, natomiast śmiało można się kąpać i myć zęby. Nie zaleca się także jedzenia warzyw bezpośrednio mytych zimną wodą. Ryzyko biegunki rośnie wraz z wzrostem spożycia, chyba, że warzywa zostały obmyte w przegotowanej wodzie. Sama woda jest miękka i bardzo przyjemna. Nie znajdziemy też tak zimnej, jaka potrafi płynąć w polskich kranach, a angolska zimna może być dla nas ciepła, choć dla nich niekoniecznie.

Dokumenty

Obcokrajowcy powinni mieć przy sobie międzynarodowe prawo jazdy, a podczas dłuższego pobytu wypadałoby wyrobić angolski odpowiednik polskiego prawa jazdy. Sam system dokumentów potrzebnych podczas jazdy samochodem jest dość skomplikowany. W Angoli istnieje masa dokumentów, papierków, zaświadczeń i każdy z nich ma inny termin ważności. Chodzi o to, aby z łatwością przegapić jakiś termin i w ten sposób dać podstawę do wręczenia policjantowi łapówki. Podstawowym dokumentem samochodu jest „Verbette” albo „Livrette” – odpowiedniki dowodu rejestracyjnego.

Verbette to kawałek różowego, czasem kremowego, białej jakości druczku A6, gdzie ręcznie widnieją nazwa samochodu, kolor, kilka ostatnich cyfr numeru VIN czy silnika i... najważniejszy stempel, na którym wpisane są data wydania i data zakończenia ważności. Po 90 dniach należy pojechać do urzędu, by opieczętować druczek, uzyskując kolejną datę ważności. Można mieć ich tyle, ile zmieści się na odwrocie. Jeśli nie ma już miejsca albo druczek stał się za bardzo wyswiechtany, trzeba wyrobić nowy dokument. Mając Verbettkę, można stale ją pieczętować lub zapłacić równowartość 200 zł i starać się o Livrettkę.

Livrettka to bardziej poważnie wyglądający dokument w formie plastikowej karty, mniej więcej o wymiarach karty płatniczej, z naniesionymi podstawowymi informacjami o samochodzie oraz, co ciekawe, rozmiarami opon. Dokument ten przechodzi wraz ze sprzedażą pojazdu na rzecz nowego właściciela. Nie ma tam jednak o nim słowa. Dlatego potrzebny jest kolejny dokument, czyli Tytuł Własności. Oczywiście nie dostaje się go od razu, najpierw należy otrzymać tymczasowy dokument ważny 240 dni i również go przedłużać poprzez wpisywanie dat na stemplu. Finalnie otrzymuje się plastikową kartę Titulo de Propriedade, z której wynika, że jest się właścicielem pojazdu i że jest ona ważna bezterminowo, podobnie jak Livrettka...

Mauzoleum Agostinha Neto

W bezpośredniej bliskości mieszczą się polska ambasada i mauzoleum Agostinho Neto, pierwszego prezydenta Angoli cieszącego się wielkim szacunkiem. Pełnił swoją funkcję od czasu uzyskania niepodległości w 1975 roku do 1979 roku, w którym zmarł tuż przed swoimi 57. urodzinami w moskiewskim szpitalu po wyczerpującej walce z rakiem. Jest również znany jako poeta, zdobył wiele międzynarodowych nagród (w tym Nagrodę Lenina). Z zawodu był lekarzem.

Z budową mauzoleum wiąże się wiele ciekawych historii. Powstało w 2012 roku i już w czasie budowy Angolczycy nazywali je „Sputnik” ze względu na formę przypominającą raketę kosmiczną. Artystycznie w sporej części budynek nawiązuje do sztuki socrealizmu, co wzięło się ze szczególnej przyjaźni między narodami Kuby, Korei Północnej i ZSRR z czasów wojny w latach 1975-2002.

Pomnik został zrealizowany przez północnokoreańskie przedsiębiorstwo Mansudae Overseas Project zajmujące się eksportową budową pomników na całym świecie. Wartość mauzoleum Koreańczycy wycenili na ponad 40 milionów dolarów, ale wspaniałomyślnie zrezygnowali z wystawienia faktury, deklarując, że jest to dar narodu północnokoreańskiego. W zamian oczekiwano udziałów w rozwoju rolnictwa w regionie Malanje, wspólnych manewrów wojskowych i prac nad paliwem lotniczym do koreańskich pocisków raketowych. Do rozwinięcia współpracy nie doszło z uwagi na międzynarodowe sankcje nałożone na Koreę Północną, w związku z którymi koreańscy delegaci zostali poproszeni o opuszczenie kraju...

Serpentyny

Jadąc dalej drogą krajową EN 280, której jakoś każe nam zapomnieć o dziurach i kamieniach, docieramy do malowniczych, wybudowanych w 1970 roku serpentyn, którymi dotrzemy do pustyni otaczającej Namibe. Zanim się tam znajdziemy, staramy się nie spieszyć, aby jak najdłużej rozkoszować się widokiem trasy. Czasem tylko wyprzedzi nas pędzący autobus, innym razem to my musimy wlec się za ciężarówką, która zjeżdża z wzniesienia na jednym z najwyższych biegów. Zawsze możemy zatrzymać się w zatoczce i odczekać aż „zawalidroga” pokona ten odcinek.

Przejazd nie trwa długo: szybko znajdujemy się na równinie, mijamy wioskę położoną obok strumyka, a dalej czeka nas spory parking, na którym obowiązkowo zatrzymują się autokary, ciężarówki i wszystkie pozostałe pojazdy, bowiem jest to jedyne miejsce po drodze, gdzie można coś zjeść, napić się, odpocząć i przy okazji od lokalnych kobiet kupić butelkę czarnego oleju, opartego na tajemnej recepturze okolicznych plemion. Sprawia on, że włosy na głowie odrastają, a ci, którzy cierpią na ich wypadanie, przestaną mieć z tym problem. Olej nazywa się Oleo de Mopeque i kosztuje niewiele, bo około 9 zł za ćwierćlitrową buteleczkę po wodzie...